

# Lokator poddasza



BOLESŁAW PRUS

## Lokator poddasza

Uczony Reb Lajzer Skowronek poprawił aksamitną krymkę<sup>1</sup> na siwiejącej już głowie, wytrząsnął na ziemię i schował w tylną kieszeń prunelowego<sup>2</sup> chałata<sup>3</sup> porcelanową fajkę i, stojąc na środku brudnej sieni, głęboko rozmyślał nad tym: za którą też wyjrzeć ma bramę?...

Jeżeli wyjrzy za zieloną, na ulicę, może zobaczyć tam rzeźnika, pędzącego woły, starą babę z konewką, chlebem lub butelką w ręku, a w każdym razie brunatny drewniany dom, którego parter zajmuje blacharz i waciarz, a facjatka<sup>4</sup>... Pan Lajzer skrzywił się, odwrócił i postąpił parę kroków ku bramie żółtej.

W tej stronie wszystko należy do niego. Ten stróż pokornie stojący z czapką w ręku, i to kwadratowe podwórze z wielką szopą na środku, i te poduszki czerwone, pierzyny w niebieskie kratki, suszące się na słońcu, i ta o dach szopy oparta drabina, gdzie na trzecim szczeblu od ziemi dokonuje cudów zręczności pejsaty Dawidek, najmędrzy ze Skowronków, jacy egzystowali na świecie — wszystko to należy do niego.

Czy tylko to?... A tenże za szopą dom drewniany, mający osiem okien na górze i pięć na dole?... A tenże drugi, na prawo, z trojgiem drzwi i dachem blaszanym?... A ten chodnik, po którym mały Jasek ciągnie na sznurze przewrócony do góry nogami stółek?... A ta na lewo zbutwiała parterowa rudera, pod którą na stosie desek gnijących igra troje brudnych i obdartych dzieci, a goj<sup>5</sup> bednarz z hałasem podbija wielką beczkę?

Smutna rudera. Żadna deska w jej ścianach nie przystaje do drugiej, żadne drzwi nie domykają się, żadnego okna otworzyć nie można, żeby się nie rozleciało. Szczerniały, mchem porośły dach tworzy tak zawikłaną powierzchnię wichrowatą, że najznakomitszy geometra nie podjąłby się jej badać, a przykrywa takich biedaków... Ach... Takich biedaków, że miłosierny Reb Lajzer już piąty miesiąc ociąga się z wymówieniem im komornego.

Żółtawe oko Skowronka zatrzymało się na ostatnim oknie facjatki, skąd przez wybite szyby od godziny już buchają kłęby pary. Tak wielka ilość pary zdradza wielki ogień, a zbyt wielki ogień...

— Ach... Ach... — mruknął uczony Żyd — oni mi jeszcze domy spalą...

I z wolna postąpił ku bednarzowi.

— Niech będzie pochwalony, Marcinie...

— Na wieki wieków — odparł bednarz, składając narzędzia i dotykając ręką czapki.

— Co u tego Jakuba taki ogień w izbie?

— To ona... Gotuje wodę do prania.

— Ny... Ny... A jak tam z nim?

Bednarz machnął ręką.

— Wun tam czasem wygląda, jak pijany — ciągnął Żyd.

— Gdzie zaś on tam pijany! Zwyczajnie spadł z ruśtowania i z onych czasów zrobił się taki jakiś... że to... eee... — objaśnił bednarz.

— Ny... Ny... Ja to zara pomiarkowałem. Wun raz u mnie drwa rąbał, ale nawet godziny nie porąbał i ustał. Że jemu we śpitalu nic nie pomogli?

<sup>1</sup>krymka — czapeczka bez daszka. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>prunelowy — wykonany z mocnej, jedwabnej tkaniny. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>chałat — długie okrycie podobne do płaszcza, noszone przez Żydów. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>facjatka — mieszkanie na poddaszu. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>goj — określenie używane przez Żydów wobec innowierców. [przypis edytorski]

— Co ta mieli pomóc, nawet mu nogi nie zgoili...  
— Franek... Franek... Chodź ino tu — odezwał się głos z facjatki, a rozmawiający ujrzeni w wybitym oknie owiniętą w żółtą chustkę głowę kobiety.

Najstarsze z obdartych dzieci, które na widok gospodarza kryły się między gnijącymi belkami, pobiegło na schody.

— To jego dzieci? — spytał Lajzer.

— A jego — odparł Marcin. — Troje na dole, a dwoje chorych w izbie.

— A wa! — mruknął Żyd, i pochyliwszy głowę, począł przysłuchiwać się rozmowie na górze.

— Gdzie wczorajsze kartofle, co były w rynce... Co? — pytał gniewnie głos kobiety.

— A bo ja wiem... matusiu — odpowiedział z pewnym wahaniem głos dziecinny.

— Łżesz, boś sam zjadł w nocy; Józia cię widziała... Ja ci dam...

— Jak Boga kocham, matusiu... żeby mi ręce i nogi połamało... żeby mnie cholera... — piszczał chłopak przy akompaniamencie uderzeń.

— A masz!... A masz!... — krzyczała kobieta. — To będziesz łgał, będziesz kradł... będziesz się przysięgał?... A masz!...

Każdemu wyrazowi towarzyszył trzask mokrej ścierki, upadającej na różne części ciała chudego i brudnego chłopca, który zanosząc się od płaczu, mówił:

— A co ja temu winien, że mi matusia jeść nie dają, co?... A bom to jadł kolację?... A bom jadł śniadanie... Co? I jeszcze mnie matusia biją za to... U... hu... hu!...

Zrobił się straszny wrzask, w którym oprócz bijącej matki i bitego pacjenta wzięło udział dwoje dzieci na górze i dwoje na dole. Zniecierpliwiło to Żyda, który po chwili namysłu wszedł do sieni, z sieni na brudne i ruchome schody, i sapiąc ze zmęczenia, stanął na progu izby pełnej pary, zaduchu i woni mydła.

— Jakubowa, pani Jakubowa!... Co u was zawdy<sup>6</sup> takie krzyki? — zaczął przybyły.

— Ooo... To pan gospodarz?... — zdziwiła się lichu ubrana kobieta, a potem płacząc dodała: — A cóż ja pocznę nieszczęśliwa z tymi bachorami, kiedy się nic przed nimi nie uchowa i niczym ich nie nakarmi? Ten roboty nie ma, dzieci pięcioro, wszyscy wołają jeść, a ty choć sobie ręce do łokcia pozdzieraj, choć się sama rozedrzyj...

— Ja wam co powiem, moja Jakubowa — przerwał oburzony Lajzer. — Że wy biedni, to jest prawda, ale że wy mi wiele nieporządku w domu zrobicie i nie płacicie, to także prawda. Zawdy u was pranie, wylewanie, suszenie, ze świecą po strychu chodzenie, zawdy krzyk, a zapłaty nie ma, a pięć rubli winniście... Wy mi głowę rozkrzyczycie, wy mi domy spalicie, wy... Wy się wyprowadzić musicie. Już ja i was, i waszych pieniędzy widzieć nie chcę.

— A panie gospodarzu! — zawołała kobieta. — Niechże pan tego nie robi, niech pan jeszcze będzie cierpliwy..

— Co to cierpliwy?... Ja już jestem pięć miesięcy cierpliwy...

— Może się też Pan Bóg nad nami zlituje i staremu da jaką robotę, to się jeszcze wypłacimy...

— Robotę... Robotę... — mruknął Żyd. — Abo wy dbacie o co?... Abo wy nie wygnaliście od siebie jednej lokatorki?...

— To jest prawda, panie gospodarzu, ale widzi pan gospodarz, ona to była takie nic dobrego, że panu i nam wstyd robiła... Niech się pan Lajzer zmiłuje... — mówiła dalej, składając ręce. — Niech się pan zmiłuje przynajmniej nad tym drobiazgiem.

Gospodarz spojrzął po izbie, gdzie wszyscy jej mieszkańcy znajdowali się w komplecie. Troje chudych, z nadmiernie wielkimi brzuchami dzieci kryło się między balią a stołem, zarzuconym mokrą bielizną. Czwarte, okryte jakimś czarnym łachmanem, leżało na łóżku, piąte w drewnianej pace na słomie, a ich nędzny ojciec z rozczochranym włosom, najeżonymi wąsami, z bojaźnią w oku stał oparty o komin, obok ciekącej konewki, na której siedział przed chwilą.

Poważną twarz Żyda przebiegł dreszcz wzruszenia.

— Co tamtemu? — spytał już łagodniej, wskazując pakę.

— Coś kaszle, panie gospodarzu — odparła matka.

— A temu co? — ciągnął, wskazując łóżko.

<sup>6</sup>zawdy (daw.) — zawsze. [przypis edytorski]



— To dziewczyna, oparzyła się niechcący ukropem.  
— A wa!... — syknął gospodarz, i zwracając się do Jakuba, dodał:  
— A jak z wami, Jakubie?  
Biedak wstrząsnął głową, skurczonymi palcami podrapał komin, lecz milczał.  
— No, odpowiedź panu gospodarzowi — wtrąciła żona.  
Jakub poruszył ustami, wlepił niespokojnie swoje okrągłe oczy w twarz gospodarza, lecz znowu milczał.  
— Zostańcie z Bogiem — szepnął Żyd i nagle opuścił izbę.  
— Niech Pan Bóg prowadzi! — odpowiedziała kobieta, wychylając się przez poręcz za schodzącym gospodarzem, którego w sieni zatrzymał bednarz pytaniem:  
— A cóż, panie Lajzer?...  
— Niech go Bóg ratuje, to bardzo biedny człowiek... — odparł Żyd i poszedł dalej.

\*

— No, Bogu dziękować — mówiła pani Jakubowa, znęcając się nad jakimś podejrzanym szmatem<sup>7</sup>, który gwałtownie i rytmicznie targła prawą ręką, przycisnąwszy go lewą do dna napełnionej wodą balii. — No, Bogu dziękować, szczęśliwieśmy dzień zaczęli. Woda gorące je, mydło je, roboty mamy na jakie pół rubla i gospodarz usatkwował się na jaki miesiąc. Franek... nie grzeb patykami w kominie, bo jeszcze co zmalujesz. Za parę dni u sklepniczarki umyję podłogę, to nam może znowu zacznie borgować<sup>8</sup>, a może i przyśle swego siostrzanka, co to je u felczera<sup>9</sup>, żeby Józci poradził... Maniusiu, weź się do kartofli... Franuś, a biegaj do sklepiku i wyproś bułeczkę chleba, to się odda pojutrze... Moszkowa gadała, że ten siostrzanek to zdarniejszy od innego doktora, więc może by on i tobie, stary, co poradził...

— Oj matusiu... Tak mnie kole... — szepnął chłopak w pace i zakaszłał.

— Niech kole, to i ty jego kol!... Co ja tobie poradzę? — odparła kobieta. — Posłuchaj, stary — zwróciła się do osłupiałego męża — ot widzisz, przecie to i twoje dzieci, pomóż-że im. Oj, bodajem ja była pierwiej osłupiała, niżem wyszła za ciebie!..

W tej chwili zatrzeszczały i zadudniły schody, a na progu izdebki ukazała się jakaś kobieta, jeszcze młoda, lecz wynędzniała i ubogo ubrana.

— Moja złocista pani Jakubowo — zawołała przybyła — a oddajcież co prędzej statki<sup>10</sup>, bo mi stara chyba łeb ukręci!..

— Statki?... — spytała przerażona praczka. — Statki?... A jakże ja dokończę?..

— Cóż ja na to poradzę, moiście wy... Pókim mogła, póty wam w sekrecie pożyczę, ale jak się wydało, stara ani słyszeć o was nie chce... Woła, że pójdzie do cyrkułu<sup>11</sup>, wyzywa od złodziei i powiada, że jak jej w moment nie oddacie balii i sagana<sup>12</sup>, to wam policjantów naśle z całej Warszawy...

Praczka schwyciła rękoma za krawędź balii.

— Nie dam balii... Nie dam sagana... Nic nie dam!... Ja tu nigdzie statku nie dostanę, a w domu nie ma co jeść i robota pilna..

Przybyła załamała ręce.

— Bójcie się Boga, co wy gadacie?... To za moje dobre serce chcecie, żeby i mnie, i was do cyrkułu powiedli!.. kumo...

Dzikie uniesienie biednej matki we łzy się rozplęnęło. Cóż miała robić? jak mogła nie oddać rzeczy, które nie były jej własnością?... To też nie dziw, że po kilkuminutowych prośbach i zakłęciach, sama wreszcie wydobyła mokrą bieliznę z balii i sama pomogła wylać z naczyń do rynsztoka<sup>13</sup> wodę gorącą, dla której przechowania nawet Marcin, poczciwy bednarz, nie mógł jej statku wynaleźć...

Drobny ten na pozór wypadek obezwładnił biedną kobietę, która siadłszy na jedynym stołku w izbie i ukrywszy twarz w fartuch, zaniosła się od płaczu.

<sup>7</sup>szmat — dziś w r.ż.: szmata. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>borgować (daw.) — sprzedawać na kredyt. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>felczer — osoba wykonująca proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>statki (daw.) — naczynia. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>cyrkuł (daw.) — posterunek policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>sagan — duży metalowy garnek. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>rynsztok — otwarty kanał ściekowy biegnący wzdłuż ulicy. [przypis edytorski]

— Ot tobie, stary, żona, ot tobie dzieci — wołała, szlochając. — Chciało ci się żenić, masz teraz... Wszystko się wali na moją biedną głowę, a jakąż ja radę dam, kiedy z izby ostatni żeleźniaczek<sup>14</sup> i balijka między Żydy już poszły...

We drzwiach stanął smutny i zadyszany Franek.

— Matusiu — rzekł — we sklepiku nie chcą dać chleba i jeszcze mówią, żeby matusia za dawniejszy zapłaciła...

— Ale... A skądże ja zapłacę, kiedy ostatni grosz na mydło wydała?

— Matusiu... — szepnęło chore dziecko z łóżka — matusiu... chyba my już dziś nic nie będziemy jedli?...

I uroniwszy te słowa, biedactwo utkwilił bojaźliwe spojrzenie w zapłakanej twarzy matki.

Od palącego duszę wzroku dziewczyny Jakubowa odwróciła oczy w inną stronę, a tam zobaczyła poźółkłą twarz kaszłającego chłopca, który ze swojej paki wytknął najeżoną głowę; spojrzawszy ku drzwiom, spotkała trzy pary lękliwie pytających o chleb żrenic; zwróciła się wreszcie ku kominowi, lecz i tam znowu dostrzegła oczy, okrągłe, zapadłe oczy swego biednego męża, utkwione w nią z jakimś bezsilnym wyrazem.

Wówczas w sercu tej kobiety żal i rozpacz przemieniły się we wściekłość; lzy jej oschły, a przed chwilą uboga praczka zamieniła się teraz w wilczycę, która wietrzy niebezpieczeństwo i postanawia bronić szczeniąt.

— Słuchaj-no, stary — syknęła przez zaciśnięte zęby do męża, kładąc mu na ramieniu ciężką, spracowaną i jeszcze wilgotną rękę. — Słuchaj i rusz-no się, bo w domu nie ma nic...

Stary milczał; żona wstrząsnęła nim.

— Słuchaj, stary, radź co teraz, boś ty chłop, a mnie już wszystko z rąk ucieka... Idź między ludzi i dostań robotę, albo użebraj co, byle chleb był w domu, bo ja tu z dzieciskami nie wytrzymam...

Stary znowu milczał i błędnym okiem patrzył przed siebie; żona pochyliła się nad nim jeszcze bardziej i głucho szepnęła:

— Idź już... powiadam ci: idź... Zrobisz, czy nie zrobisz, to idź, byleś mi z oczu zszedł, bo albo twoja, albo moja śmierć...

Nędzarz ocknął się; czy zrozumiał co, trudno zgadnąć, lecz pewne jest, że czuł wszystko. Czuł wilgoć w mieszkaniu, czuł głód, ból okaleczanej nogi, zawrót swojej biednej, rozbitej głowy, a nade wszystko to, że nie ma już dla niego miejsca na rodzinnym barłogu<sup>15</sup>.

Gdy wstał z konewki, żona wcisnęła mu czapkę na głowę i z lekka popchnęła ku drzwiom. Nie obejrzał się nawet, lecz schodząc na dół, usłyszał głos syna, mówiącego:

— No, nie becz, Mańka... Tatuś poszedł na miasto i chleba nam przyniesie, ba, jeszcze i wędzonki, jak dawniej.

\*

Wyszedszy z domu, nędzarz zatrzymał się przed bramą zdziwiony. Dziwiła go jasność dnia i ciepło słoneczne; dziwiły go wesołe twarze przechodniów, którzy mówiąc nie narzekali, ani wołali o chleb; dziwił go obszar ulicy, na której mógł odetchnąć, nie czując woni mydlin, i poruszyć się, nie czując na sobie wzroku zrozpaczonej żony i zgłodniałych dzieci. Gasnący umysł rozjaśnił się nieco i Jakub przypomniał sobie, że powinien gdzieś iść i szukać chleba.

Iść, lecz dokąd?... Ulica ciągnęła się w obie strony. Na lewo bruk był bardzo nierówny, na prawo chodnik; Jakub miał nogę skaleczoną, więc poszedł na prawo. Mógłże pomyśleć, że ów niewyraźny, instynktowny pociąg do gładkiej drogi jest jednym z szarpnięć straszliwej maszyny przeznaczenia, której niemiłosierne tryby w tym dniu jeszcze zdruzgotać go miały?...

Na skrócie ulicy zetknął się z jakimś stróżem w niebieskiej bluzie, nader pilnie zamiatającym schody nędznego szynku.

<sup>14</sup>żeleźniaczek — garnek żelazny. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>barłóg — legowisko. [przypis edytorski]

— Iii... hy! — zawołał stróż — bandzie pogoda, kiej pan Jakub wylazł. Jak się macie?...

— Bóg zapłać, panie Walenty — mruknął Jakub, zapewne pierwszy raz od dni kilku.

— Coście wy się tak już z tydzień nie pokazywali?... Gadają ludzie, że u was w chałupie bida, hę?...

— Jużci, że bida — odparł Jakub. — Roboty nie mam.

— Roboty... Kto ją ta ma? Tak samo jak pieniędzy; tylko Żydy i wielkie panowie mają... No, chodźta do cukierni.

Z tymi słowy wprowadził Jakuba do szynku, gdzie oprócz właściciela, Żydka z bardzo chytrą miną, siedział a raczej drzemał wsparty o dużą kufę jakiś jegomość w pomiętym kapeluszu i wypłowiwał surducie, którego barwy, najjaśniejsze przy kołnierzu, na plecach przechodziły w kolor musztardowy, a około kieszeni w ciemnotabaczkowy.

— A wa... nasz pan Jakub... — wykrzyknął Żyd. — Taki gość... Chyba węglem w kominie zapisać?... Co sze to z panem Jakubem rabiąło?...

— Niech no Jankiel spagatówki tu postawi, ino prandko — zakomenderował Walenty.

— Pan Jakub jesce robi u mulaze?...

— Aha! Robi!... Zleciał na łeb z rustowania i tera ameryture dostał... No, prandy wódki... — odparł Walenty.

— A pyniędzy?... — spytał Żydek, zakładając ręce w tył i chwiejąc się na rozkraczonych nogach.

— Jakie pieniądze?... A bez pieniędzy to nie łaska? Ja funduję... — huknął pan Walenty.

— Pan Walenty funduje?... Ny, to z tegie chlebie, to z tegie mąkie... No, nic nie będzie z tegie... — zakonkludował Jankiel.

— A... A... panu Walentemu... — ocknął się wypłowiwały jegomość spod kufy. — A... moje uszanowanie... Cóż to za obdartus z panem Walentym przyszedł?... Niechże mam honor poznać...

— To mój kamrat — odparł stróż. — Pan Jakub, co był u mulazy, ale rozbiuł się i tera roboty suko...

— Ha, ha... roboty w szynku? Głupstwo robota, w całej Europie nie znajdzie roboty, tylko wódkę, wódkę, jeżeli ma pieniądze... Jankielu, mój szczupaczku, a daj-no mi tam kieliszczynę...

— Znowu na burg<sup>16</sup>?... — spytał Żyd płaczkliwie. — Już mi pan Ignac tyle od rana winien i jesce chce?...

— Com ci od rana winien, ty psi flaku?... Ja?... Tobie? Winien?...

— Moze nie?... Pan Ignac z samego rana zjadł obazanek, potem wódki wypiuł, potem znowu wypiuł, i znowu zjad, i znowu wypiuł ze dwa razy, i znowu chce pić?

— Panie Ignacy — zaczął Walenty — ja sobie myślę, może by pan Jakubowi jaką prośbę wystafirował<sup>17</sup> do państwa, zeby choć trochę ciekowi dopomóc...

— Prośbę?... Temu obdartusowi?... — dziwił się pan Ignacy, widocznie bardzo po-błażliwy na usterki swojej garderoby.

— To się na diabła nie zdało... Mnie zapytajcie, co prośby znaczą, mnie... bom ja sam chodził z listem, gdzie było napisano... Wódki, psia wiaro...

— Nima wódki... — odparł Żyd.

— W liście moim — ciągnął pan Ignacy — stało wyraźnie napisano, jako ja, Ignacy, od urodzenia głuchoniemy, a przy tem zbankretowany<sup>18</sup> majster, polecam się wzglę... względem Jaśśnie Wielmożnych i Wielmożnych państwa... I co myślicie?... Może myślicie, że oni wspomagają kogo?... Sto diabłów tam... Oni umieją wyzywać tylko od pijaków... Mnie... Mnie... samego nazwali pijakiem... Wódki, bydłęcy ogonie... bo cię zabiję, spale, zaskarzę... Hup!...

W tej chwili wpadła do szynku jakaś zaperzona kobiecina z okrzykiem:

— Ty znowu w szynku, nicponiu, znowu?... A ja ci tu...

<sup>16</sup>na burg — właśc. na borg, tj. na kredyt. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>stafirować (z niem. *staffieren*) — stroić się z przesadą, tu: elegancko przygotować. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>zbankretowany — zrujnowany. [przypis edytorski]

— Magdziu... Magdusiu... — zaczął zdetonowany<sup>19</sup> Walenty. — Ja nic... Ja tylko z Jakubem...

— Z Jakubem?... — wrzasnęła żona. — I ty się nie wstydzisz chodzić z Jakubem, co jest gorszy od dziada, i bo sam nie ma co jeść, i jeszcze dzieciom chleb odbiera?...

To powiedziawszy, schwyciła męża za kołnierz.

— Waluś... Nie daj się, mój cynaderku... — zachęcał go pan Ignacy.

— Jeszcze i ty, pijaku, i ty?... Ja wam obu sprawię! — I po tej groźbie zepchnęła męża i pana Ignacego ze schodów na ulicę, rozdając między obu z wielką wprawą po parę kopnięć nogą, od której na surducie pana Ignacego bardzo wyraźny ślad pozostał. Jakub wyszedł za nimi.

— Fiuuu... jaka jędza! — zwrócił się do biedaka Ignacy, gdy już małżeństwo znikło im z oczu. — Prawdziwa łaska Boża, żem jej w moje ręce nie dostał... Fiuuu...

Tak pogwizdując i zataczając się, schwycił pod rękę Jakuba i pociągnął go za sobą.

— A jak ci tam, moja miętóweczko? — zaczął.

— Jakub — odpowiedział oszołomiony biedak.

— Otóż widzisz, mój Ja... Jasiu, powiem ci tyle, żeś głupi, kiedy szukasz roboty... Robotą to nie dla takich, jak ty, robotą to głupstwo i wszystko głupstwo...

Przy tych słowach blada i napuchła twarz pijaka okazywała wielkie zmartwienie.

— Powiadam ci... — prawil dalej — jak ci tam?...

— Jakub.

— Powiadam ci, mój Jacusiu, wszystko głupstwo. I to słońce... a psik! Ja zawsze kicham, ile razy spojrzę na słońce... Głupstwo słońce, i ziemia, i domy, i bogactwa... Taki, powiadam ci, człowiek z edukacją, jak ja, utrzymać się nie może, a dopiero ty?... O zaślepienie ludzkie! Ale... jakże ci tam, bo ciągle zapominam?...

— Jakub.

— Otóż, powiadam ci, mój Jędrusiu, ja, z moją szlachetnością w sercu, żebym miał dzieciom chleb odbierać i być niepotrzebny na tym świecie, powiadam ci, poszedłbym na most i... i słowo honoru... hult w wodę... żeby nikomu nie zawadzać, mój Józiu... A może ci świata żal? — dodał pan Ignacy, patrząc błędnymi oczyma w twarz Jakuba. — Jęd... Jędrusiu, turrkaweczko moja, nie bądź głupi... Wszystko, co tu widzisz dokoła, to marność... to czczość... Plunąć nie warto, powiadam ci...

Nagle urwał i stanął z podniesionym do góry palcem, jakby pragnął powstrzymać grom wzgardy, zbyt pośpiesznie rzucony na otaczającą go rzeczywistość, jakby uznał, że miejsce, na którym znajdują się obecnie, nie usprawiedliwia bynajmniej, może słusznego, lecz w każdym razie zbyt gwałtownego wstępu do świata. Tu wodociąg, tam szynk, w suterynie<sup>20</sup> flaczarnia, a obok niej jeden stragan z pietruszką, drugi z pieczywem, trzeci z wędlinami, przy którym w kociołkach, mających formę wanienek, gotowały się kiszki i kielbasy... Pan Ignacy uczuł, że na widok ten mięknie mu serce, zaczął więc znowu, ale już z innego tonu:

— Wiesz co; mój Fran... Jakże bo ci tam?...

— Jakub — odpowiedział nieszczęśliwy towarzysz.

— Aha! Otóż wiesz, mój Jasieczku, że... że dalibóg miałbym wielką ochotę zafundować ci co... Możebyśmy też tak... kiszeczki, z bułeczką? Aż mi pachnie, powiadam ci...

— Jeżeliście łaskawi?...

— A możebyśmy, słuchaj, pierwiej wódeczki, a potem flaczków?... Widzisz... kiszkę jeść pod straganem, to strasznie ordynarr...

— Iii... co tam — odparł Jakub.

— A gdyby też, posłuchaj-no mnie, naprzód wódeczki, a potem kielbaski, hę?... Hum! Widzisz... mój Piotrusiu, ja funduję... tylko ja, nikt więcej... No, ale daj pyska, daj dzióbka... niech cię...

To powiedziawszy, pochylił się na prawo i ucałował kołnierz, potem na lewo i zawadził nosem o ucho Jakuba.

— Ale widzisz, pożycz mi pół rubelka, nic więcej, niech cię Bóg broni... bo... ja nie wzięłem ze sobą...

<sup>19</sup>zdetonowany — pozbawiony pewności siebie. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>suteryna — kondygnacja poniżej parteru, częściowo znajdująca się pod ziemią. [przypis edytorski]

— Albo ja mam... Skądbym ja wziął! — odpowiedział smutnie Jakub.

— Nie masz?... Fiu. A chciało ci się prośbę pisać?... Fiu... A chce ci się z porządnymi ludźmi pod rękę chodzić?... Dla Boga! I ten bezecny Walek zaznajamia mnie z takim hohyszem<sup>21</sup>?... Bywaj zdrow, Jacusiu. Muszę wstąpić do cukierni... Może jest kto znajomy... Adiu<sup>22</sup>...

Z tymi słowy pan Ignacy wbiegł do nowego szynku i upadł na ławę, pozostawiając Jakuba na ulicy, zwróconego twarzą ku Wiśle, do której stąd było zaledwie kilkaset kroków.

\*

Jakim sposobem trafił, kiedy zasnął i jak długo spał Jakub, trudno zgadnąć; dość, że około zachodu obudził się pod szychtami<sup>23</sup>, wprawdzie rozgorączkowany, lecz spokojniejszy i przytomniejszy, niż zwykle.

Spał na śmieciach, które rozgrzebywało kilka kur i prosię, tuż koło niego i nie zważając na niego, jak na rzecz martwą. Lecz Jakub był na to obojętny. O kilka kroków od siebie widział on starą i poplamioną, lecz jeszcze dość całą czapkę, z której mógłby zrobić bardzo miły podarunek dla swego syna, nie podniósł jej jednak, tak jakby nie podniósł w tej chwili i woru ze złotem.

Poniżej swego ohydneho posłania dostrzegł on dwóch chłopców, widocznie nie znających się z sobą, z których mniejszy rzucał kamienie na wodę, wyższy zaś zdawał się rozmyślać nad sposobem zawarcia z nim znajomości. Jakub uczuł dziwną sympatię dla tych dwóch wyrostków, chętnie by nawet porozmawiał z nimi, tylko że nie mógł jakoś zebrać się na wypowiedzenie pierwszego słowa; milczał więc i słuchał.

— Hej tam!... — zawołał nagle wyższy — a nie przestajesz rzucać, hę?... —

— No, abo co? — odparł niższy.

— Bo to, że w mordę dostaniesz, jak będziesz rzucał...

— O, a za co?...

— Za to, że nie wolno rzucać na wodę kamieni. Nie wiesz, czy co?...

Kiedy Jakub na próżno usiłował przypomnieć sobie tak dziwny zakaz, mały chłopiec przystąpił do wyższego, który znowu zaczął:

— Widzisz, ty cybulusie, tego łobuza na górze?... — i to mówiąc, wskazał Jakuba.

— Może by w niego z parę razy?... — spytał nieśmiało młodszy.

— Pał go! — zawołał starszy.

Po tej komendzie kilka kamieni świsnęło nad Jakubem, jeden padł około głowy, drugi trafił w chorą nogę. Jakub syknął z bólu i usiadł na śmieciach, co widząc, chłopcy uciekli.

— Czego oni chcą ode mnie?... Com ja im winien?... — mruknął nędzacz.

Lecz, nim zdołał odpowiedzieć na to pytanie, usłyszał za sobą gruby głos:

— Oho, znowu jesteś, ptaszku?... Nie widzieli go tu...

Jakub obejrzał się: za nim stał silny i wysoki człowiek, wyglądający na stróża.

— Jeszcze ci się chce co upolować? — ciągnął przybyły. — Niedawno pokradł deski i dziś znowu przychodzisz, kanalio...

— Ja nie kradnę desek — szepnął Jakub.

— Nie kradniesz ty, tylko twój brat za ciebie... Znamy cię lisku... Won stąd!

Biedak podniósł się.

— Czego wy chcecie ode mnie, człowieku?...

— Won stąd! — krzyknął jeszcze głośniejszy przybyły i schwyciwszy Jakuba za ramię, gwałtownie wypchnął go na drogę.

Nędzacz teraz dopiero uczuł, że go noga boli straszliwie, że go głowa pali i język mu z pragnienia wysycha. Chciał jeść, chciał pić, chciał spocząć gdzie, ale miejsca nie było.

Na skrócie pustej i niebrukowanej ulicy, za stosem belek dostrzegł rudego dziada, w starym wojskowym płaszczu i z płócienną torbą na ramieniu. Dziad, siedząc, układał coś na kolanach i mruczał:

<sup>21</sup>hohysz (z ukr.) — biedak. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>Adiu (z fr.) — zniekształcone „adieu”, tj.: żegnaj. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>szychta (daw.) — stos bali a. desek. [przypis edytorski]



— Krajanka chleba... za duszę Piotra i Agaty. Suchy chleb... Trzy ogórki, żeby Pan Bóg dał deszcz... Może i da? Szóstkę za dusze zmarłe. Wieczny odpoczynek...

Jakub zrobił parę kroków naprzód.

— Litościwa osobo, zmiłuj się nad biednym sierotą... — zaczyna dziad, raczej skutkiem przyzwyczajenia, niż nadziei, aby prośba jego przydać się na co mogła.

Jakub stanął.

— Iii... dziadku — rzekł — jeszcze by mnie się co od was należało...

— Wam?... Ode mnie?... — zawołał dziad zdumiony.

— A ino?... Wyście dziś jedli, a ja nic.

— No, patrzaj, nie jedliście?... A to jedzcie!... Kto wam broni? — mruknął dziad, szybko chowając zapasy.

— A kie<sup>24</sup> nie mam co jeść...

— To sobie zaróbcie. On myśli, że teraz dziady to takie wielkie panowie, jak dawniej...

— Pewnie, że chciałbym zarobić, ale nie mam gdzie.

— O ho... nie mam gdzie! To się powieście.

— I powroza nie mam.

— To go ukradnijcie! — zakończył dziad z gniewem. — ja tam ani wasz brat, ani swat, żebyście mi głowę zawracali.

Wszystkie cierpienia fizyczne i moralne odżyły w biednym Jakubie; zdawało mu się, że go ze wszech stron otaczają jakieś sieci niewidzialne, jakieś narzędzia męki, przed którymi chciał uciec. Chciał uciec przed swoją nogą krwawiącą się i opuchłą, przed swoją głową, w którą tysiące młotów kuły, przed spojrzeniami głodnych dzieci, które jak ostre gwoździe wbijały mu się w serce, przed wyrzutami żony, które jak roztopiony ołów upadały na niego, słowem — przed wszystkim... przed wszystkim...

Z tej strasznej zadumy ocucił go brzęk szkła i krzyki.

— Giewał<sup>25</sup>... lufcik zbił... Łapaj... Trzymaj...

To on zbił lufcik, to jego łapać kazano!... Jakub rozejrzał się: był już niedaleko swojej ulicy, wpadł więc na nią, zmieszał się z tłumem przechodniów i znikł w bramie.

Na podwórzu zaczął go bednarz Marcin:

— Nie macie się czego kwapić<sup>26</sup> do domu; Mańka gdzieś zginęła na ulicy, i wasza wyszła za nią z chłopcem, a resztę dzieci zamknęła w izbie.

Jakub, nie odpowiedziawszy nic, wbiegł na schody, a ze schodów do komórki pod strych, gdzie były sznury, na których wieszano bieliznę i garstka grochowin<sup>27</sup>, na których zwykle sypiał. Tu zziąjany, rozgorączkowany, wsparł się o jedną z belek i w najwyższym niepokoju począł wyglądać przez dymnik<sup>28</sup>, oczekując na coś...

Czekał niedługo, w kilka minut bowiem ukazał się na podwórzu jakiś Żyd w towarzystwie kobiety.

— Marcinie! — zawołała do bednarza kobieta — A gdzie to Jakub siedzi?

— A na co go wam?...

— Jak to na co?... — wtrącił Żyd. — Na to, żeby za szybę zapłacił, co ją zbił...

— I toście wy, Katarzyno, pokazali drogę do Jakuba? — spytał bednarz kobiety.

— Przecie to nie darmo — objaśnił Żyd. — Wuna ode mnie wódki dostanie...

— Widać, żebyście wy, Katarzyno, rodzonoego ojca za kieliszek wódki sprzedali — mruknął pogardliwie bednarz.

— Nu, co tu dużo gadać — przerwał Żyd — pokazujcie, Katarzyno, bo ja nie mam czasu.

Zawstydzona kobieta milczała, spoglądając ukradkiem na dymnik, gdzie w półcieniu dostrzegła wynędzniałą twarz Jakuba.

— Nu, gdzie to jest, Katarzyno?... — nalegał Żyd.

W tej chwili ręce Jakuba podniosły się nad głową.

— Dajcie mi tam spokój — odparła kobieta.

Głowa w dymniku poruszyła się gwałtownie, twarz przebiegły konwulsyjnie dreszcze.

<sup>24</sup>kiej (gw.) — kiedy. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>giewał — gwałtu! rety! [przypis edytorski]

<sup>26</sup>kwapić (daw.) — spieszyć się. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>grochowiny — lodygi wymłóconego grochu. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>dymnik — niewielkie okienko w dachu. [przypis edytorski]

— Wynoś się, Żydu — huknął Marcin. — Co się będziesz w cudzym domu rozbijał...

Twarz wyglądającego ze strychu Jakuba zrobiła się bladolina.

— Za co wynoś... Co to wynoś?... Gwałt! — wrzeszczał rozgniewany Żydek, i na podwórzu rozpoczął się hałas, który dopiero przybycie Lajzera Skowronka uciszyło.

Stary gospodarz uspokoił poszkodowanego i kazał mu iść do domu.

— Niech panu Bóg wynagrodzi — rzekł biedny bednarz, uchylając czapki. — Już na tych biednych ludzi tak się wszystko wali, że aż strach... Teraz oto dziecko im zginęło.

— I dziecko się znajdzie — odparł gospodarz — i jeszcze dobrze będzie. Ja dziś gadałem o nich z zakonnica, a zakonnica powiedziała, że starego zabierają do szpitala i dzieci do ochrone<sup>29</sup> i Jakubowe dadzą robotę... Będzie gut<sup>30</sup>...

— Jakubie! — zawołał bednarz, podnosząc głowę. — A zejdzta ino na dół! Nagle urwał i niespokojnie dodał: — Co jemu jest?...

— Co jemu jest? — powtórzył wybladły gospodarz, patrząc w dymnik.

W tej chwili w bramie domu ukazała się praczka, niosąc na ręku znaną, śpiącą ze zmęczenia dziewczynę; obok niej biegł najstarszy chłopiec z potężnym kęsem chleba, nad którego zmniejszeniem nader usilnie pracował.

Zobaczywszy sędziwego Żyda, Jakubowa zaczęła mu dziękować; ten jednak machnął niecierpliwie ręką i poszedł na górę, a za nim bednarz i praczka z dziećmi, w towarzystwie kilkorga podwórzowych gapiów.

Przed drzwiami komórki gospodarz zatrzymał się i rzekł:

— Wejdźcie wy naprzód, panie Marcinie.

Lecz i Marcin nie wszedł, spojrział tylko w głąb komórki przez szczelinę między deskami i cofnął się przerażony.

Nie wiedząc, o co chodzi, Jakubowa pierwsza stanęła we drzwiach, a za nią gapie.

— O Matko moja Boska! — zawołała nagle kobieta — a cóżes ty zrobił najlepszego, Jakubie!...

— Dajcie znać do policji — dodał ktoś — Jakub się powiesił.

— Oderznijcie go, może jeszcze ciepły...

— Nie dotykajcie się, bo za to kryminał!

Powstał zgiełk i bieranina; najsprzeczniesze zdania krążyły między gromadą, która w kilka minut zapełniła korytarzyk i schody.

— A wa... A wa... — lamentował gospodarz, drżąc na całym ciełe. — Taki strach, taki grzech, taka kompromitacja... Za co on to zrobił? Ja komornego nie brałem, ja jego dzieciom dopomagałem, ja za nim do zakonnicy poszedłem, a on się powiesił... Nu, róbże tu ludziom dobrze, to oni ci tak zapłacą...

— Nie gniewajcie się, panie Lajzer — wtrącił nie mniej zmieszany bednarz — bo on to nie przez złość tak zrobił, ino przez to, że miał źle w głowie... Jemu i sam Pan Bóg daruje...

Tak narzekali i litowali się dobrzy ludzie, a tymczasem przywiązany do krokwi dachu wisiał trup Jakuba. Biedna głowa jego opadła ku ziemi, lecz na zsiniałej twarzy, zamiast obłędu, trwogi i bolesti, rozlewał się majestatyczny spokój śmierci.

Bieda, Głód

Samobójstwo, Śmierć

Trup

<sup>29</sup>ochronka — ośrodek opieki nad ubogimi dziećmi. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>gut (z niem.) — dobrze. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/prus-lokator-poddasza>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, Nowele Warszawskie, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Londyn 1946

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Koziół, Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

ISBN 978-83-288-0740-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.